

Jerzy Lackowski: Znikają szkoły, rośnie ministerstwo edukacji

"Ukochane dziecko" duetu Hall-Szumilas może ostatecznie przypieczętować katastrofę



"Ukochane dziecko" duetu Hall-Szumilas może ostatecznie przypieczętować katastrofę

W ciągu ostatniego tygodnia dowiedzieliśmy się m.in., iż:

- słabo wypadła diagnoza kompetencji gimnazjalistów,

- z polskiej mapy oświatowej zniknie w tym roku rekordowa liczba ok. 2500 placówek,
- w wielu szkołach panują fatalne warunki sanitarne,
- w MEN powstał nowy departament ds. współpracy z samorządami,
- MEN zakupiło nowe samochody, każdy z nich kosztował ok. 160000 zł.

Ten krótki przegląd informacji oświatowych dobrze ukazuje, na czym polega zjawisko taniej oświaty w odniesieniu do ucznia i nauczyciela, ale drogiej w kontekście zajmujących się nią urzędników. Skądinąd owi urzędnicy, na czele z ich aktualną szefową - minister Szumilas - zdają się nie zauważać rzeczywistych polskich problemów edukacyjnych. Niezmiennie prezentują znakomite samopoczucie, opowiadając o odnoszonych przez siebie sukcesach, zauważanych tak naprawdę jedynie przez nich i przez bezkrytycznych fanów ekipy premiera Tuska. Zresztą w sztuce odwracania uwagi od ważnych spraw urzędnicy MEN, podobnie jak inni ludzie obecnej koalicji, prezentują wysokie umiejętności. Bardzo charakterystyczny był brak w komunikacie prasowym po spotkaniu (w ramach słynnego przesłuchiwania ministrów na sto dni nowo-starego rządu) premiera Tuska z minister edukacji jakiegokolwiek wzmianki o kwestiach związanych z wchodzeniem do szkół średnich od 1 września br. nowej podstawy programowej kształcenia ogólnego i związanej z nią zmianie formuły ich pracy. Tymczasem właśnie to "ukochane dziecko" duetu Hall-Szumilas może ostatecznie przypieczętować katastrofę, związaną z niskim poziomem wykształcenia uzyskiwanego przez naszych uczniów. Obecnie po ogłoszeniu komunikatu o wynikach przeprowadzonej przez Instytut Badań Edukacyjnych diagnozie kompetencji gimnazjalistów

mamy pierwsze twarde dowody, że cele, dla których wprowadzono nową podstawę programową, nie są przez uczniów osiągane. Można wręcz stwierdzić, iż słabości naszych uczniów są teraz jeszcze bardziej widoczne, a ich silne strony wcale nie uległy wzmocnieniu. W dalszym ciągu gimnazjaliści mają poważne kłopoty z niestandardowymi problemami, z argumentowaniem swojego stanowiska (o ile są w stanie go zająć), coraz mniej czytają, a także mają kłopoty z poprawnym posługiwaniem się językiem ojczystym. Za kilka miesięcy ci młodzi ludzie będą musieli nie tylko wybrać szkołę średnią, ale również niewiele później zadeklarować profil kształcenia licealnego, czyli będą zmuszeni do podjęcia istotnych dla ich przyszłości decyzji. Tymczasem mamy do czynienia z młodymi ludźmi, którzy mają podstawowe problemy z "edukacyjną samodzielnością" i prezentują niski poziom opanowania kompetencji kluczowych. Innymi słowy można mieć poważne wątpliwości, czy będą w stanie dokonać prawidłowego wyboru dalszej drogi edukacyjnej, jak też trzeba zauważyć, iż w zdeformowanym liceum nie będą mieli szans na nadrobienie braków. Jednak te kwestie zdają się nie interesować minister Szumilas i jej urzędników, chociaż w momencie wprowadzania nowej podstawy programowej słyszeliśmy, iż będzie ona miała wręcz zbawienny wpływ na jakość kształcenia naszych uczniów. Być może jej autorzy zakładali, iż badanie owej jakości oparte będzie na wprowadzonym przez MEN systemie, kompletnie marginalizującym efekty kształcenia, który służy nade wszystko do przerabiania unijnych pieniędzy i zaciemniania obrazu naszej oświaty, a nie do pozyskiwania rzeczywistych informacji o jakości pracy szkół. Zapomnieli, że jednak istnieją w miarę obiektywne narzędzia pozwalające ocenić jakość kształcenia naszych szkół. Niestety, można obawiać się, znając metody działania tej ekipy, iż na najbliższym egzaminie gimnazjalnym poziom trudności zadań zostanie ustawiony na odpowiednio niskim pułapie, aby można było uniknąć kłopotów z ujawnionym po raz kolejny skutkiem jej działań.

Likwidacje szkół oraz ujawnione przez Sanepid kiepskie warunki sanitarne części placówek też zdają się nie zaprzętać uwagi osób odpowiedzialnych za polską oświatę. Z ich strony najczęściej można usłyszeć, iż za te sprawy odpowiadają przecież samorzady, a nie MEN. Trzeba im przypomnieć, iż to minister edukacji odpowiada za realizowaną przez rząd politykę oświatową, w tym za konstrukcję i wysokość (w porozumieniu z ministrem finansów) części oświatowej, kierowanej do samorządów subwencji, a rząd, nakładając na lokalne władze coraz to nowe zadania bez odpowiedniego zabezpieczenia finansowego, generuje kłopoty z ich wykonywaniem, dodatkowo wzmacniając je prowadzoną w stosunku do nich restrykcyjną polityką finansową. Skądinąd można odnieść wrażenie, że minister Szumilas nie rozumie, iż znaczna część likwidacji szkół ma swe źródło w fatalnym modelu polskiej oświaty, którego wcale nie zamierza zmieniać, ale swoimi działaniami (a właściwie zaniechaniami) przyczynia się do jego umacniania. Być może nie ma czasu na zajęcie się tymi sprawami, ponieważ skupiła swoją uwagę na poprawie komfortu swojej pracy. Z całą pewnością wrażenie będzie robił na nauczycielach szkoły mającej kłopoty z zapewnieniem swoim uczniom właściwych warunków sanitarnych nowy służbowy samochód pani minister. Zresztą troska rządu Donalda Tuska nade wszystko o siebie to charakterystyczna cecha zjawiska zwanego przez niektórych publicystów tuskizmem. Mam wrażenie, iż gdyby nasz drogi rząd wziął przykład z członków ekip rządzących w krajach skandynawskich, to od razu moglibyśmy zlikwidować najbardziej doskwierające uczniom braki sanitarne w naszych szkołach.

Również sprawa nowego departamentu w ministerstwie edukacji mieści się w kategorii, którą nazwałbym "urzędniczą bezczelnością". Oto słyszymy, iż dzięki niemu MEN zajmie się pracami nad doskonaleniem zasad naliczania części oświatowej subwencji, czyli daje się nam do zrozumienia, że w dotychczasowej strukturze ministerstwa było to

niemożliwe, a przecież w gmachu na al. Szucha mamy już i departament ekonomiczny, i departament strategii. No cóż, dla biurokraty, a z klasycznymi biurokratami mamy dzisiaj do czynienia w MEN, problemy rozwiązuje się poprzez powoływanie nowych jednostek. Z całą pewnością nowy departament będzie chciał zaprezentować swoją przydatność i uczyni to zbierając z samorządów rozmaite informacje, z których niewielka część będzie jego pracownikom do czegokolwiek potrzebna, ale za to ludzie w samorządach będą musieli wykonywać pracę w większości kompletnie do niczego niepotrzebną. Warto jeszcze zauważyć, iż "na dzień dobry" nowy departament ma dwóch wicedyrektorów (czyżby jeden nie wystarczał?).

Tak oto umacnia nam się świat oświatowych pozorów, w którym szczególną pozycję zajmują urzędnicy, a nauczyciele i uczniowie stanowią jedynie tło dla realizacji przez nich rozmaitych programów, najczęściej kompletnie nieprzydatnych uczniom, za to pozwalających uczestniczącym w nich urzędnikom na przerabianie publicznych pieniędzy. Pośród różnych kwestii, które powinny zostać wyjaśnione, sprawa kosztów oświatowej administracji oraz jej rozmaitych agend, jak też wydawanych przez nią publicznych pieniędzy, winna stanowić jeden z priorytetów, gdyż ukrócenie szerzącego się marnotrawstwa mogłoby bez zwiększenia globalnych nakładów na oświatę poprawić warunki pracy uczniów i nauczycieli.

Jerzy Lackowski

Tekst ukazał się na salon24.pl

